



Na lodowcu Stanley'a poruszamy się powoli (wys. ok. 4700 m) ale bezpiecznie.

Różne uroki Afryki w jednej RUWENZORI TREKKING cz. II

Andrzej Kulig

Jesteśmy u podnóża Gór Księżycowych, nazwanych tak przez Ptolemeusza 1800 lat temu, ale „odkrytych” przez Europejczyków tylko 120 lat temu. My odkrywamy je w 2008 roku.

Pierwszy dzień trekkingu rozpoczyna się w poniedziałek, 14 lipca. Po śniadaniu jedziemy do Nyakalengiji (wys. 1615 m n.p.m.), gdzie uzupełniamy sprzęt wspinaczkowy (raki, uprząż, czekan) i do bramy parku narodowego Ruwenzori. To tutaj rozpoczyna się piesza wędrówka przez niemal dziewicze tereny – jedne z ostatnich na Ziemi. Najpierw jednak uczestników czeka załatwienie formalności związanych z trekkingiem – obowiązkowa rejestracja oraz spotkanie z przewodnikami i tragarzami. Do ośmiu członków naszej wyprawy dołącza czterech przewodników, tragarze (przynajmniej 8) oraz kucharz i jego pomocnicy. W sumie nie wiem ile osób liczy cała nasza wyprawa! Ale tak chyba musi być.

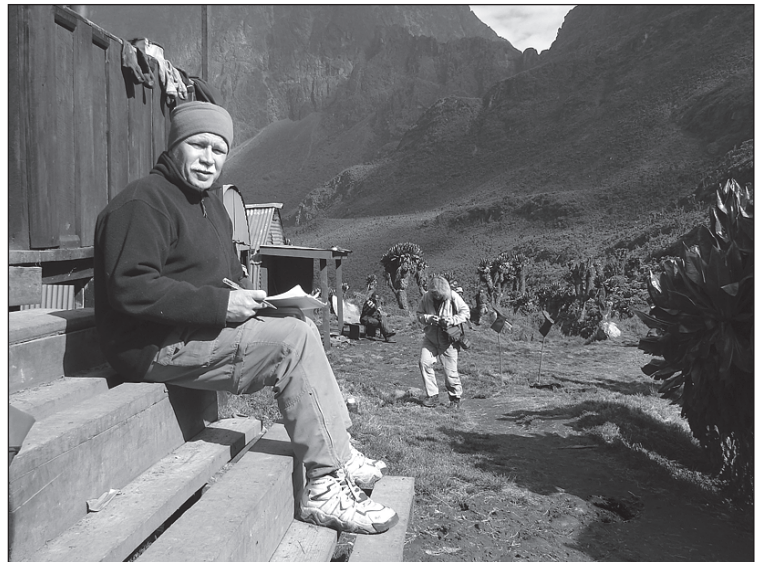
Na szlak wyruszamy około godziny 10. Idziemy przez liczne w tym regionie plantacje kawy i bananów. Po około godzinie marszu wchodzimy do dżungli. Dżungli za którą tęskniłem. Pogoda jest pochmurna, brak słońca i zarazem doskonale warunki do wędrówki. Pierwszy postój przy domku, w którym załatwiamy ostatnie formalności z rejestracją w parku. Następnie idziemy przez dżunglę, aż do krótkiego postoju nad rzeką Mahoma, po przekroczeniu której rozpoczynamy bardziej strome podejście zalesionym grzbietem na odkryty teren z widokiem na szczyty Portal. Pierwszym spotkaniem, dzięki pomocy przewodnika, egzotycznym zwierzęciem jest kameleon. O tyle to ciekawe, że jego nawet na zdjęciu trudno wypatrzeć. Do obozu – miej-

sca noclegowego Nyabitaba Hut położonego na wysokości 2651 m n.p.m. docieramy po około pięciu godzinach wędrówki. Zajmujemy miejsca w chacie i czekamy ... Jurek, korzystając z wolnej chwili, nawiązuje ostatnią łączność z Polską, po której na tydzień tracimy sygnał telefoniczny. Tragarze docierają z bagażami z dużym opóźnieniem – około godziny 17. Okazuje się, że ten pierwszy dzień jest dla nich najtrudniejszy. Najpierw starają się „załapać” do grupy, a później jeszcze pędzą do domów pożegnać się z rodziną i przygotować do kilkudniowej wyprawy. Teraz możemy się już rozpakować i skorzystać nawet z prysznicza. Około godz. 18 jest herbata i ciastka, a po kolejnej godzinie kolacja na gorąco, po której mamy krótkie spotkanie z przewodnikami (tzw. *briefing*) i około 21 można przygotowywać się do spania. Warunki są dobre – chata z wieloosobowymi pokojami. Nasz mieści 6 osób.

PODRÓŻE MAŁE, PODRÓŻE DUŻE



Transport bagaży jest ciężką pracą, ale dlaczego plecaki niesione są w workach i na głowie, tego nie wiem.



Szczśliwe chwile – autor w masywie Ruwenzori na wysokości ok. 4 tys. m n.p.m. w roli korespondenta „Echa Limanowskiego”.

Autor wśród bujnej alpejskiej roślinności - las ogromnych senecji tworzy niezwykły krajobraz.

wyprawie

We wtorek, w drugim dniu trekkingu pobudka o 7³⁰. Śniadanie o 8³⁰, a po śniadaniu o 9 wyruszamy na szlak. Droga bardzo ciekawa, i nareszcie przez wymarzoną dżunglę. Schodzimy do wiszącego, lekko „zrujnowanego”, mostu położonego w miejscu łączenia się dwóch rzek Mubuku i Bujuku (wys. 2600 m), a potem wspinamy się na prawy brzeg doliny rzeki. Według Lonely Planet Ruwenzori Trekking jest trudniejszy niż na Kilimandżaro i Mt. Kenia. I wypada się z tym zgodzić. Jest on bardziej „techniczny”. Droga przez dżunglę jest dość wymagająca: wąska i podmokła, skaczemy z kamienia na kamień lub po korzeniach drzew. Kamienie i korzenie są bardzo śliskie. Dużo wilgoci. Po kilku godzinach wędrówki docieramy do tzw. „starego” obozowiska. Nadaje się ono tylko do krótkiego odpoczynku i założenia stoptutów (ochraniaczy). Teren staje się jeszcze bardziej podmokły. Podłoże jest bardzo bogate w organiczną glebę. Dużo próchnicy i wody. Wędrujemy przez bambusowy las. Po drodze trochę pada, ale ogólnie

nie pogoda jest bardzo dobra. Po ponad 6 godzinach marszu dochodzimy do malowniczo położonego schroniska John Matte Hut na wysokości 3380 m n.p.m. Jesteśmy na miejscu. Chata na 16 osób. Warunki (mimo, że zapowiadano obniżenie standardu) przyzwoite, chociaż na prysznic już nie można liczyć. Kąpiel, lub mycie w lodowatej wodzie w rzece. Po południu pojawia się słońce. Są piękne widoki na pobliskie szczyty. Na szczęście Margherity nie widać. Tym razem czekamy na herbatę i obiad krócej. Zmierzch robi się około 19. Do tego czasu dobrze jest zająć się najważniejszymi czynnościami (porządkowanie bagaży, toaleta, przygotowanie spania). Po kolacji dość szybko kładziemy się spać.

W środę oficjalna pobudka około godziny 7, ale każdy wstaje dość indywidualnie. Na 8 jest przewidziane śniadanie (m.in. *porridge*, naleśniki lub omelety), a potem szybkie pakowanie bagaży. Dzisiaj mamy do pokonania tereny podmokłe – bagna, dlatego zamiast butów trekkingowych zakładamy rybackie woderki. Rano wędrówka malowniczą trasą do miejsca zwanego Lower Bigo Bog. Zaraz po wyjściu z obozu przekraczamy rzekę (w woderkach jest to proste) i wspinamy się do dolnego bagna, które pokonujemy po dobrej konstrukcji pomoście o długości około 1 km. Trzeba tylko uważać, aby się nie poślizgnąć. Bagno pokryte jest kępami traw, które podczas pokonywania go są bardzo pomocne. ►

▶ Rozpoczynamy wspinaczkę przez wspaniałą dolinę Bujuku pokrytą alpejską roślinnością, w tym głównie starce i piękne lobelie (kilka razy większe od tych na Kilimandżaro). Widoki są niezwykle. Trudność sprawia bardzo wąska, śliska ścieżka, cierniste zbrocza i gęsta roślinność. Szlak, którym podążamy, jest przygotowywany do sezonu trekkingowego poprzez wycięcie ścieżki w dżungli. Wędrówka poza szlakiem jest praktycznie niemożliwa, ponieważ nie da się pokonać terenu. Wymaga to wyprawy mającej w składzie specjalne osoby wyposażone w maczety służące do wyrąbywania ścieżek w tropikalnej dżungli. Dochodzimy do górnego bagna – Upper Bigo Bog. Teraz idziemy przez podmokły teren według następującej taktyki: stawiamy nogi dokładnie tam, gdzie wcześniej postawiła je osoba poprzedzająca. Stając na kępach trawy, korzeniach i kawałkach drzew można iść, ale kilkanaście centymetrów obok czekają już kilkudziesięciocentymetrowe „głębie”. Wpadając do nich jedną nogą, trzeba się pilnować, aby nie „utopić” drugiej nogi. Samodzielnie wyjść z bagna jest bardzo trudno. Na zboczach jest mniej bagnaście i rośnie przepiękny las, lecz trzeba pokonywać leżące pnie drzew, strome skały oraz śliskie korzenie i kamienie, na których bardzo łatwo się poślizgnąć i upaść, więc wędrówka jest równie trudna. Po kilkukilometrowej wędrówce przez bagno, dalej zaczyna się bardziej strome podejście do jeziora Bujuku. Mimo że okolica jest zachwycająca, trzeba patrzeć też „pod nogi”. Pokonując drogę brzegiem jeziora grzęzniemy w bagnie. Na dodatek pojawiają się mgły i chmury. Zaczyna padać deszcz. I nic dziwnego. W końcu Ruwenzori, zwane w Ugandzie Rwenzori, w językach Bantu oznacza - góry deszczowe.

Na szczęście w oddali widać już zabudowania „schroniska” Bujuku Hut oddalonego o mniej więcej pół godziny marszu od jeziora. Na miejscu jesteśmy o 14²⁰, po 5 godzinach marszu. Po chwili pojawia się herbata (wraz z wysokością – teraz jesteśmy prawie na 4000 m n.p.m., podwyższa się jakość serwisu!). Około godziny 15 pojawia się też słońce i wspaniały widok na ośnieżony masyw Stanleya. Należy wspomnieć, że Ruwenzori mają około 20 szczytów o wysokości ponad 4,5 tys. metrów wysokości. Część grupy decyduje się na wycieczkę na pobliską przełęcz. Ja postanawiam zrobić kilka notatek z trasy. W końcu rola korespondenta „Echa Limanowskiego” zobowiązuje. A jesteśmy w ostatnim miejscu, gdzie można usiąść na schodach chatki i pisać. W schronisku napisy informują „Jeżeli nie musisz iść dalej, zawróć. Ostatnio miały miejsce dwa śmiertelny wypadki. Jesteś w terenie, w którym ewentualna pomoc nie nadejdzie szybko.” Z tego powodu, po kolacji żegnamy się z dwiema Szwajcarkami, które dzielnie towarzyszyły nam w drodze. Nasza kilkunastoosobowa wyprawa w tym miejscu jest już dość nietypowa. W Bujuku Hut pojawiają się głównie dwu-trzy osobowe grupki z *supporterami*. Nie ma praktycznie zorganizowanych grup. I mimo, że jest cudnie „bezludnie” pora kłaść się spać. Dalej zaczynają się poważniejsze wyzwania.

W czwartym dniu trekkingu mamy decydujące podejście do bazy Elena Hut, z której wyruszają wszystkie ataki na ośnieżone szczyty Ruwenzori. Po śniadaniu wyruszamy w woderach. Tym razem otaczamy jezioro Bujuku od strony zachodniej. Znowu wspinamy się bardzo stromo. Aby wydostać się na niewielką przełęcz, która jest doskonałym punktem widoko-

wym na jezioro Bujuku w dole i śnieżne szczyty nad głowami, ostatni odcinek pokonujemy po metalowej drabinie kilkumetrowej wysokości. Dochodzimy na przełęcz, z której można zacząć schodzić w dolinę Mubuku. W tym miejscu opuszczamy główny szlak trekkingowy „wokół Ruwenzori” i kierujemy się jeszcze bardziej w górę. Szlak staje się coraz bardziej wysokogórski. Zmieniamy obuwie na trekkingowe. Do drewnianego szałas, składającego się z dwóch niewielkich pomieszczeń, docieramy dość wcześnie – po pięciu godzinach wspinaczki. Mamy sporo czasu na przygotowanie sprzętu do wejścia na szczyt. Jesteśmy na wysokości 4540 m n.p.m. Dlatego po kolacji szybko oddajemy się w objęcia Morfeusza, aby po kilku godzinach marszu zregenerować siły i śnić o potędze.

W piątek 18 lipca 2008 roku, w piątym dniu trekkingu już o 6²⁰ wyruszamy na najtrudniejszy, ale i jeden z najpiękniejszych etapów wspinaczki. Wczesne wyjście jest konieczne, m.in. z uwagi na długość podejścia oraz chęć zapewnienia sobie dobrej widoczności na stronę kongijską. Jest jeszcze ciemno, ale niezbyt zimno. Przez godzinę wspinamy się po skałach do lodowca Stanley Glacier. Potem podczas krótkiego postoju zakładamy raki, uprząże, wiążemy się linami i około 8 wchodzimy na lodowiec. Widoczność się pogarsza. Idziemy przez niemal płaskie Plateau Stanleya. Docieramy do skał, po pokonaniu których trafiamy na lodowiec Margherita. Lodowiec kończy się pionową skałą. Tutaj, po założeniu asekuracji, trzeba wspiąć się najpierw po metalowych klamrach, a następnie wciągnąć na linie. Dla mnie jest to najtrudniejszy moment wyprawy – około pięć metrów wysokości o trudności IV stopnia. Szarpnięcie liną przez poprzedzające-



Margherita Peak, najwyższy szczyt Ugandy, zdobyty – Kinga i Krzysiek z autorem.



To nie zima w Beskidach, ale trekking w strefie równikowej w połowie lipca.

go mnie Przemka uświadamia, że niestety, lub na szczęście, odwrotu nie ma. Trzeba dać z siebie wszystko, bo za mną podąża już Jurek. Dalej jeszcze niewielkie podejście po skalnym podłożu i dokładnie o godzinie 12, w samo południe, kończymy atak na szczyt Mt. Margherita. Jesteśmy na szczycie o wysokości 5109 m i, o dziwo, jest tu przyjemnie oraz dość ciepło. Można trochę odpocząć, napić się herbaty, zjeść kawałek czekolady i zrobić pamiątkowe zdjęcia. Parafrazując myśl H. J. Browna¹, potwierdzam, że „*życie co jakiś czas daruje nam cudowną chwilę i należy się nią nacieszyć*”. Ale, jak się okazuje, zdarza się to nie za często i nie na długo. To tutaj dociera do nas wiadomość, że członek naszej wyprawy uległ kontuzji. Początkowo przypuszczaliśmy, że jest nim jeden z przewodników. Ostatecznie okazało się, że Maan, który miał czekać na nas pod pionową skałą, postanowił ją pokonać i wybił bark. Teraz, mając niesprawną rękę, cierpi i wymaga szczególnej asekuracji.

Po półgodzinnym odpoczynku zarządzamy odwrot. Teraz wędrujemy bardzo powoli, bo podobno do 70 procent nieszczęśliwych wypadków w górach zdarza się podczas schodzenia. Wokół gęstnieje mgła. Po pokonaniu feralnej skały (w dół poszło znacznie łatwiej) poruszamy się po śnieżno-lodowej czapie pokrywającej Stanley Plateau. Po zdobyciu szczytu, zejście poniżej granicy śniegu okazuje się problemem. Na lodowcu widoczność spada praktycznie do kilku metrów. Teraz przejście przez skały dzielące lodowce jest dość trudne, bo pada bardzo intensywny deszcz. Dopiero na dolnym lodowcu nabieramy trochę sił. Droga wydaje się być coraz łatwiejsza. Ale zapomnieliśmy o skałach pokonanych jeszcze w porannych ciemnościach. Po cało-

dziennych opadach są tak śliskie, że nie da się ich pokonać bez asekuracji. Leszek organizuje stanowisko zjazdowe i wszyscy zjeżdżają na linach kilkadziesiąt metrów. Dopiero po około dwunastu godzinach w akcji wszyscy jesteśmy w chatce Elena Hut. Teraz czeka nas odpoczynek i lunch. Początkowy plan, dalszego schodzenia do jezior Kitandara i do obozu na wysokości 4000 m pozostawiamy do realizacji na dzień następny. Tylko Leszek dokonał jeszcze czegoś, co mnie zaskoczyło – nastawił Maanowi wybity bark, dzięki czemu mógł on wziąć leki przeciwbólowe i zasnąć. Na drugi dzień mieliśmy się rozstać z naszym kontuzjowanym współtowarzyszem. Maan musiał wracać z jednym z przewodników pokonaną dotychczas drogą.

W sobotę czeka nas długi dzień, ponieważ powinniśmy zrealizować „zaległy” odcinek Elena Hut – Kitandara, plus planowane, po stromej wspinaczce na przełęcz Freshfield Pass (wys. 4215 m n.p.m.), zejście do Guy Yeoman Hut (3500 m). Zejście do jezior Kitandara okazało się znowu bardzo trudne z powodu warunków pogodowych. Rano budzimy się i stwierdzamy, że w lipcu, w Afryce, w strefie równikowej, pada intensywnie śnieg! Ale nie ma wyjścia, trzeba wyjść z chatki. Początkowo w butach trekkingowych, asekurowani w niektórych miejscach przez przewodników „wytracamy” wysokość. Mijamy zielone senecje pokryte śniegiem. Widok roślinności tropikalnej pokrytej w środku lata na równiku śniegiem robi dziwne wrażenie. Powoli śnieg przemienia się w opad deszczu. Do Kitandara Hut, z widokiem na kongijską dżunglę, docieramy w samo południe mocno przemoczeni. Czas lunchu wykorzystujemy na osuszenie, przebranie i posiłek. Bo przed nami jeszcze bardzo długie wędrowanie przez przełęcz Freshfield Pass oraz bagna w dolinie Mubuku, głębsze od tych w dolinie Bujuku. Ponownie wracamy do woderów. Ostatni odcinek przedzierania się przez bagna nie zdążyliśmy pokonać przed zmierzchem. Włączyliśmy nasze czołówki, ale „zabawa” stała się szczególnie emocjonująca. Teraz skoki z kępy na kępę nie zawsze kończyły się sukcesem. Na szczęście, idąc z Jurkiem, towarzyszył nam jeden z przewodników. Big support. Ponieważ byliśmy mocno spóźnieni, ze schroniska wyszedł naprzeciw drugi z przewodników. O godzinie 20 byliśmy w komplecie w Guy Yeoman Hut, gdzie ksiądz Krzysztof Gardyna szukał dinozaurów. Kompletny Jurassic Park.

W siódmym dniu trekkingu mamy w planie całodziennie zejście z gór. Najpierw na lunch do Nyabitaba Hut (2500 m) przez bagnisty region Kamatu oraz Kichuchu, a następnie dotarcie do bramy parku narodowego. W Nyabitaba jesteśmy około godziny 13. Tutaj podczas naszego posiłku dochodzi nasz towarzysz Maan. Jest w niezłym stanie. Po godzinnym odpoczynku ruszamy dalej razem. Pogoda się poprawia, więc schodzimy w dobrym tempie. Odcinek, który przy podchodzeniu zajął nam 5 godzin, teraz pokonujemy w 3 godziny. Jesteśmy w punkcie wyjścia. Przy bramie parku robimy pamiątkowe zdjęcia. Następnie zakończymy trekkingu. Zdajemy sprzęt, żegnamy się z przewodnikami górskimi i tragarzami. Ten moment jest charakterystyczny. Supporterzy byli bardzo dobrzy. W dowód wdzięczności, oprócz napiwków, zostawiamy im część naszego ekwipunku (np. kije, wodery), który nam na tej wyprawie nie będzie już potrzebny, a dla nich stanowi cenne „trofea”. Uderza też witalność spotkanych ludzi. Szef przewodników powtarza: „*powiedzcie o nas i naszych górach swoim znajomym. My na nich czekamy*”. Krzysiek rozdaje koszulki i inne pamiątki z Polski. Jest sielsko. Spokojnie dojeżdżamy do hotelu. Czekają nas rozpakowywanie plecaków, suszenie ubrań i ponowne pakowanie bagażu – na safari.

**„Idź w góry. A gdy wrócisz z gór,
świat nadal będzie taki sam,
ale ty będziesz inny.”**

Tak napisał Paweł Piwowarczyk².
I chyba ma rację.

Andrzej KULIG

Fotografie ze zbioru Andrzeja Kuliga
Warszawa, grudzień 2008 r.

c.d.n.

Część III – SAFARI w następnym numerze.

1. Brown H. J. Jr.: Mały poradnik życia. 365 rad, spostrzeżeń i przypomnień pomagających przeżyć szczęśliwe i owocne życie. Agora S.A. Warszawa 2008.

2. Piwowarczyk P.: Na bożym szlaku ... Niedziela Nr 31, Rok LI, s. IV-V. 2008.



Teraz już tylko wędrowka w dół – letnie upały czekają na nas (Jurek z autorem) dopiero w Polsce.



Fot. 1

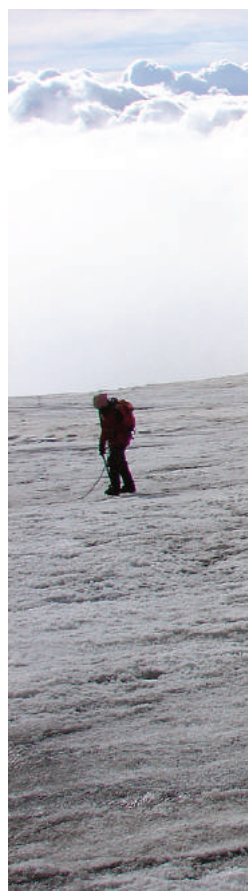


Fot. 3

Fot. 4



Fot. 2





Fot. 5

RUWENZORI TREKKING

Fot. 1 - Wspaniała dolina Bujuku pokryta dżunglą – zaginiony świat Arthura Conan Doyle'a.

Fot. 2 - Widok na jezioro Bujuku i las senecji (starce) - w drodze do Elena Hut.

Fot. 3 - „Zrujnowany” most w dolinie rzek Mubuku i Bujuku – dobrze, że jest.

Fot. 4 - Dzięki pomostowi pokonanie bagna Lower Bigo Bog stało się łatwiejsze.

Fot. 5 - Lodowiec na Stanley Plateau u podnóża Alexandra Peak z oddali wygląda bardzo zachęcająco.

Fot. 6 - Za chwilę ogarną nas chmury, w których nie będziemy latać, lecz starać się utrzymać na lodzie i nie wejść przez pomyłkę na Alexandra Peak.

Fot. 7 - Na pierwszym planie wspaniała lobelia (a dalej, nie wiedzieć czemu, „widzę” wieżowce Nowego Jorku).

Fot. 6



Fot. 7